№ 7. Warszawa, dnia 6 (18) Luty 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

JERZY BYRON.

I.

Pierwsza epoka jego działalności.

W dniu 22 zeszłego miesiąca Stycznia, przypadła stuletnia rocznica urodzin wielkiego tego poety angielskiego, urodzonego roku 1788, który spotwarzany i prześladowany za życia, jeszcze dotąd we własnej ojczyźnie niedoczekał się uznania jakie mu słusznie przynależy. Przyczyną tego był wewnętrzny niepokój ducha, niemogącego się pogodzić z przestarzałą formą towarzyskiego porządku, pod której szatą fałsz i hipokryzya świątu pęta narzucały.

Ojciec Byrona marnotrawny i lekkomyślny, w młodym wieku porwał cudzą żonę lady Carmathen i z nią się ożenił, a gdy ta niedługo umarła, ponowił związki z Katarzyną Gordonówną matką poety, której posag wkrótce strwoniwszy, opuścił ją wreszcie i sam we Francyi życie zakończył. Pozostała wdowa, prawie zupełnie zubożona, osiadła w Szkocyi w małem miasteczku Aberdeen, wraz z synkiem swym pięcioletnim Jerzym, od najmłodszych lat objawiającym gwałtowne uczucia i namiętności. Do podsycania ich, przyczyniała się wielce pamięć dawnej świetności i bogactwa przodków, podnoszona ciągle przez matkę nad stratą ich zawsze ubolewającą i nad ubóstwem jakiego stała się ofiarą. Była to kobieta bardzo popędliwa i zmienna w swem usposobieniu, syna namiętnie kochała a była jednak jego udręczeniem.

W takim stanie rzeczy nagła śmierć stryjecznego dziada, lorda Byrona, zmieniła odrazu los biednej wdowy i syna jej Jerzego, przelewając na niego tytuł lorda i para Anglii oraz wielkie do niego należące posiadłości. Oszołomiony tak niespodziewaną pomyślnością, z nędzy niemal podniesiony odrazu do znaczenia i bogactwa, czuły i wrażliwy niewymownie w całym sobie uczuł gwałtowny przewrot, wstrząśnienie stawiające go na wyżynie z której świat cały zdał mu się malutkim jak ręka w pięść ściśnięta, a ludzie jak mrówki. Pierwszy raz kiedy w szkole usłyszał nauczyciela, nazywającego go *dominus Byron*, zalał się rzewnemi łzami i długo nie mógł się uspokoić.

Góry Szkocyi niezmierne wrażenie wywarły na jegó usposobienie, ale większe jeszcze namiętna miłość ku krewnej Małgorzacie Parker, która w samym rozkwicie młodości i wdzięków umierając, kirem żałoby okryła jego duszę.

Mając lat trzynaście życia, w wyższej szkole zostając, nie zalecał się ani pracą ani pilnością, czując niejako wstręt do przymusowego zajęcia, ale czytał wiele i bardzo korzystał. Przyjaźń jaką powziął do towarzyszów wspólnej nauki, zachował aż do końca żywota a przytem i żal po ich stracie, którzy prawie wszyscy przed nim pomarli.

Mocniejszem jednak od wszystkich poprzednich uczuć, była już trzecia miłość jego ku Maryi Chaworth, starszej od niego dwa lata i już z innym zaręczonej. Marya nie kochała go, ale lubiła bardzo, co młody zapaleniec brał za miłość i gdy wkrótce wyszła za mąż, uczuł się srodze dotknięty w dumie swego serca.

Zaraz potem przeszedłszy do uniwersytetu mając lat 17, napróżno starał się w wesołem pożyciu z towarzyszami, przyciszyć dręczące go wspomnienia, nadaremnie w przesadzonych ćwiczeniach gimnastycznych, w odmęcie zabaw, szukał środków przytłumienia swego żalu i niepokoju, nazywanych przez niego szatanami życia. W tejto walce między wrodzoną pobożnością duszy a wątpliwościami rozumu, szukać trzeba źródła tych goryczą przesiąkłych myśli, jakie później z tak wielką siłą miotał na świat cały i ludzi. Ale wówczas jeszcze nie czuł wzgardy ani nienawiści do nich, które dopiero później z obrażonej w nim pychy i doznanej niesprawiedliwości, główną barwę utworów jego poetycznych stanowiły.

Pierwszym głównym do tego powodem, była szydercza a niesprawiedliwa krytyka pierwszego zbioru jego poezyi p. t. Godziny próżniactwa. Autor jej Brougham nieprzyjaciel torysów czyli arystokracyi, aby ją potępić sponiewierał piórem wielkiego w przyszłości poetę, który wezwany do walki, w ognistej satyrze, niezmierną wzgardą odpowiedział.

Tymczasem nierachunkowe życie w Londynie wepchnęło go w otchłań długów, a gdy poczęto przyganiać jego zbytkownem wydatkom, zwąc go marnotrawcą, postanowił opuścić Anglią i na ląd stały wyjechać. Przed odjazdem, zebrał raz jeszcze w starożytnej rodu swego siedzibie przyjaciół swej młodości i tam w gotyckich komnatach, przebrany wraz z nimi za mnicha, pijąc z czaszki ludzkiej zamiast puharu, boksując się lub strzelając do celu, tocząc rozprawy poważne lub bawiąc się z oswojonym niedźwiedziem, wyjechał wreszcie z Anglii w lecie w roku 1809.

Najprzód udał się do Lizbony, zwiedził Kadyks i Andaluzyą, potem Maltę a ztamtąd udał się do kraju swych marzeń do bohaterskiej Grecyi i w Atenach pokochał uroczą Teresę Macri, która stała się żyjącą dla niego muzą. Pod jej natchnieniem napisane pieśni *Childe-Harolda*, postawiły Byrona odrazu na czele wszystkich poetów Anglii. Późniejsze zaś mowy w izbie parów, w obronie ubogich wyrobników, z rozpaczy wszczynających rozruchy, wykazały w nim wzniosły polityczny charakter. Młodość zaś jego i uderzająca piękność, zimna duma i namiętne uczucia, złączone z tajemnym wpływem geniuszu, uczyniły go celem współczucia i ciekawości publicznej.

Najznakomitsi ludzie uganiali się o jego znajomość, najpiękniejsze kobiety o miłość, czem młody poeta upojony rzucił się z największym zapałem w odmęt zabaw i uciech światowych, i w pośród nich hulając bez przerwy napisał sławne swe poemata: Giaur, Narzeczona z Abydos, Korsarz i Lara, z których każdy z nich zdobytą już sławę niezmiernie podnosił.

Mając lat 27 w roku 1815 Byron pojął w małżeństwo posażną miss Milbank-Noel, która przed rokiem już raz rękę jego odrzuciła. Upokorzona tem duma, a przytem stosunki rodziny i majątek panny, więcej niż miłość skłoniły go do zawarcia tego związku. Niedługo też bo zaraz po urodzeniu córki, z powodu niezgodności charakterów, małżeństwo zostało zerwane, z'czego skryta dotąd nienawiść zazdrosnych, z wielką gwałtownością przeciw Byronowi wybuchła, nieszczędząc najszkaradniejszych potwarzy by imię jego i zdobytą sławę na powszechną wydać wzgardę. Nie wahano się przytem ogłosić za nieprzyjaciela wiary, obyczajów, stosunków społecznych, za posłannika szatana i sceptycyzmu.

Byron na te wrzaski pokątne i publiczne, tylko milczeniem wzgardy odpowiadał, mówiąc do życzliwych:

— Jutro wyjeżdżam z Anglii, bo jeźlim taki jakim mnie ogłoszono, tom niegodny w niej mieszkać, jeślim zaś spotwarzony, to Anglia niegodna zwać mnie swym synem.

Przed odjazdem wydał w druku *Pożegnanie do żony*, w którem winę rozłączenia w całości bierze na siebie i żałuje, że się stał tego powodem. Na tem kończy się pierwsza epoka jego poetycznej działalności. Szydercza krytyka, była jak iskra padająca na ciało palne, na wulkan młodego natchnienia budząc go do działalności: walkę więc przyjął i rzucił rękawicę światu literackiemu. Nienawiść zaś ludzka tak zjadliwa, podniosła siłę dojrzałego już geniuszu i zniewoliła do walki z całą społecznością.

Poezya jego według Mora, krzewiła się tylko na ruinach serca przepalonego uczuciem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pieśni młodości.

Jam pragnął z ogródka tej róży wspaniałej,
Bogatej we wdzięki jak ona;
Jam pragnął tej lilii tak strojnej i białej,
Co duma u stóp jej schylona.

Z przypadku, czy z myślą podano mi bratek
Malutki, niegłośny z piękności;
Przyjąłem go wdzięczny, znam dobrze ten kwiatek,
Jak godło braterskiej miłości.

Zapewne rzec chciano: o ptaku przelotny!
Nie dla cię szczęśliwsze zapały!
Ty z pieśnią daleko polecisz samotny,
A sercem ukochasz kraj cały.

Pojąłem myśl waszą, nadobne dziewice,
I kwiatek przytulam do łona;
Kochajcież mnie zatem jak brata siostrzyce,
I z wami niech kocha mnie ona.

Tak, bratek z ogródka dokonał zbyt wiele:
On będzie mi zawsze wspomnieniem,
O kwiatach, przechadzkach, o białym aniele,
Co był dziś mej pieśni natchnieniem.

Antoni Kruman.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Powracając do twego Apolina — ciągnie zwolna, zaplatając warkocze — to rzecz prosta, iż rodzice kochani nie zechcą z pewnością zmuszać cię do jego zaślubienia. Miłoby im przecież było, gdybyś ten wybór uczyniła z własnej woli. Serce masz wolne i nie zdaje mi się, aby to było poświęceniem zbyt ciężkiem z twej strony, wziąć sobie na męża ślicznego chłopca, posiadającego obok urody wszystko, co dać może kobiecie szczęście.

Dziewczynka milczy. Opuszcza igłę i bucik na dywan i zamyśla się, wysyłając zadumane spojrzenie, gdzieś daleko po za otwarte okno, gdzie z nizkiego swego umieszczenia na podłodze, widzi tylko szeroką przestrzeń przeczystego lazuru, przesłoniętego w połowie szmatkiem białego obłoku.

— Co to jest szczęście? — pyta poważnie łagodnym, zniżonym głosem, opierając śliczną główkę na siostry kolanach.

Pytanie to brzmi czysto dziecięco. Panna Antonina przytula też do siebie tę kruczą główkę; jakby należała ona istotnie do maleńkiej dzieciny.

— Szczęście — mówi poważnie — szczęście kochanko, to rzecz tak subtelna, tak niekiedy wielka i głęboka, tak kiedyindziej płytka i nędzna, że określić ją trudno w kilku słowach. Każdy z nas, zamyka w tym wyrazie coś innego, odpowiadającego rodzajowi pragnień, których poziom zależnym już jest od poziomu serc naszych i umysłów. Miliony kobiet, nazwałyby szczęściem to właśnie, co dać ci może związek z Endymionem.

Dziewczynka opiera łokcie na kolanach mówiącej, patrząc w twarz jej oczami błyszczącemi jak dwa ciemne, lecz ogniste kratery.

— Pomińmy, że ja sama posiadam to wszystko i nie potrzebuję brać nic, od nikogo. Przyznaję owszem, że skarby fortuny, którymi złotowłosy nasz pieszczoch losów, obsypać może kobietę ukochaną, są dobrą, piękną, potrzebną nawet bardzo w życiu ludzkiem rzeczą... lecz, czyż to jest szczęściem samem?

Panna Antonina waha się przez chwilę z odpowiedzią na tak jasno stawione pytanie.

— Zapewne — odpowiada oględnie — zapewne być niem może, jeśli wejdziemy z życiem w rozsądne układy i nie będziemy mieli zbyt fantastycznych do niego pretensyi.

Dziewczynka niecierpliwym ruchem głowy odrzuca w tył spadające jej na czoło włosy.

— To nie jest odpowiedź! to odgadywanie rzeczy! — Przerywa żywo. — Chcę usłyszeć: tak, lub nie, stanowczo w tej chwili! Powiedz mi, że na stanowisku świetnem przed którem świat biłby pokłony, nie płyną łzy nigdy, a wspaniałe mury dumnych zamków, nie mogą być siedliskiem rozpaczy?!

Młodzieńczy ogień, bijący od zarumienionej ślicznej twarzyczki, ogarnia mimowoli nie o wiele starszą siostrę, która odrzucając precz grzebień, opiera obie ręce na ramionach, klęczącej przed nią dziewczynki.

— Nie — odpowiada bez namysłu. — Może tam żyć rozpacz i łzy płynąć, jeśli serce, nie znajdzie tam nic...

Młoda panna zatrzymuje się nagle, spostrzegłszy, że wygłasza coś wprost przeciwnego temu, co miała w programacie. Ale jest już zapóźno. Panienka zarzuca jej ręce na szyję, wybuchając srebrzystą gammą śmiechu.

— Dalej! dalej! doświadczona, wytrawna, wyrachowana panno Antonino! Nie zatrzymuj się! peroruj dalej, nie zważając, że wpadasz sama w zastawione na mnie sidła! — woła rozpromieniona swym tryumfem. — Albo nie fatyguj twych ślicznych, tak głęboką prawdę siejących na świat ustek! Ja sama dokończę za ciebie to zdanie. Więc może tam mieszkać rozpacz i łzy płynąć, jeśli serce nie znajdzie nic, coby ukochało! Prawda? To chciałaś powiedzieć nieomylna Sybillo?! Otóż ja, wśród tego szczęścia, którem obdarzyłby mnie nasz Apollin, nie znalazłabym nic do zaspokojenia głodu mego serca. Umierałabym tam z dnia na dzień przytłoczona brzemieniem ciężkiego upokorzenia przed samą sobą, że uczyniłam wybór, z którego nie mogę być dumną.

— Oh! oh! zapalona główko! czy tylko nie marzą ci się sny jakieś w uwieńczonych laurem bohaterach? — wymawia Antonina, uwalniając się wesoło z jej uścisków.

Dziewczynka podnosi się z dywanu, stając przed siostrą wyprostowana.

— Nie — wymawia z namysłem. — Nie jestem pyszną i nie chcę bohaterów! Nie dorzuciłabym nigdy mego skromnego listka do snopów kwiecia, rzucanego pod stopy uwielbianych! Psułoby mi całą słodycz, nagradzania zasługi, gdybym miała

to czynić w tłumie hołdującym. Ale zastępy dzielnych składają się z dwóch oddziałów. Po za uwieńczonymi wodzami postępują cisi szeregowcy, na których nikt nie zważa... walczący bez nadziei zdobycia sobie sławy, idący naprzód, przez wolę wykonania obowiązku, niecofający się przed niczem, przez szacunek dla samych siebie. W tych szeregach poszukam ja sobie człowieka mocnego i wtedy...

Kończąc te słowa, dziewczynka porywa z posadzki porzucony tam bucik, wciąga go stojąc na nóżkę, zapina pośpiesznie nieszczęsny guzik, czy nawet nie dopina go wcale i chwyciwszy parasolik ze stołu, wybiega jak wicher z pokoju.

— A Endymion? cóż zrobimy z Endymionem?— woła za nią starsza siostra.

— Umieść go na końcu jego miliona, a będzie miał wartość dziewięciu milionów! — brzmi odpowiedź z po za drzwi.

— Czyli zera! — kończy wybuchając śmiechem panna Antonina. — Co to za złośliwiec!

Równo z tym okrzykiem, daje się słyszéć lekki szmer, osłaniającej drzwi przyległego pokoju portyery, która szarpnięta niecierpliwą ręką, odkrywa twarz stojącej za nią hrabiny.

— Przegrana! przegrana na całej linii! — woła ze śmiechem wspaniała dama, wchodząc prędko do buduaru.

— Zupełna, droga mateczko! Słyszałaś sama. Robiłam co mogłam, lecz przekonałam się wkrótce, iż mogłam bardzo mało. Nie umiałam przemawiać wbrew własnemu przekonaniu. Znasz Anę. Niepodobna wdawać się z nią w rezonowanie półśrodkowe, ani mieszać wobec niej złego z dobrem! Spojrzy ci w oczy i spyta krótko: czy rzecz w zasadzie jest złą, lub dobrą? A wtedy.

— Nie my to z pewnością będziemy się wysilali na skrzywienie tego, co prostem jest w naszej dziewczynie! — kończy matka z rozpromienioną twarzą. — Pragnęłam bardzo, aby Endymion zdobył sobie serce Anusi, lecz skoro ona sama zapatruje się na to tak jak widzimy, żaden smutek z chybienia mych planów nie może zaćmić radości, jaką mi sprawia prawość jej charakteru. Jestem zadowoloną z mych poczciwych dzieci — dodaje słodko, składając pocałunek na czole starszej córki.

Panna Anna tymczasem, przebiega pędem wyłożony grubym chodnikiem korytarz, zamierzając odbyć jeszcze przed obiadem samotną przechadzkę po parku.

Odkąd zjechali tu galicyjscy goście, dziewczynka nie znalazła wolnej chwili, w której nie miałaby obok siebie, przed sobą, lub w najlepszym razie tuż za plecami, pięknej twarzy rozkochanego kuzynka. Jak opowiada sama półżartem, półrozpaczą, doświadcza od dni dziesięciu, zupełnej męczarni skutych jednym łańcuchem galerników, a nawet braci Siamskich, niemogących za żadną cenę pozbyć się towarzystwa, znienawidzonego wspólnika niedoli.

— Swobody! swobody! połowę królestwa za kwadrans swobody! — woła do siebie cichutko, lecz z głębi duszy, przekradając się przez długi korytarz, w którego końcu znajdują się gościnne pokoje.

Obtulając około siebie szeleszczące grenadyny, dziewczynka nie wierzy wcale w spełnienie nieprawdopodobnych swych życzeń! Niepodobna aby przez cienkie deski drzwi zamkniętych nie dostrzegł jej oblegający nieprzyjaciel, który słyszy ją zawsze, zobaczy wszędzie, przeczuje zresztą jej obecność, gdziekolwiekby była! A innej drogi nie ma!

Z słabą nadzieją powodzenia w sercu, probuje jednak omylić czujność czatującego, dla spokoju sumienia. Podniósłszy w górę spódniczki, na czubkach palcy z lekkością wiosennego wietrzyka, przelatuje po pod strasznemi drzwiami, za któremi rozlega się przeciągły głos ciotki, rozmawiającej zjedynakiem, rzucającym jej odpowiedzi, niecierpliwym, rozdrażnionym tonem.

Dziewczynce zdaje się, że szmer sukni musi ją zdradzić, gniewa się nawet na własne serduszko, uderzające tak głośno w uciśniętej trwogą piersi. Ale drzwi są już po za nią... jeszcze trzy skoki i oto poręcz schodów, które przebywa w karkołomny sposób, nadpowietrznemi susami mijając po kilka stopni odrazu.

Dalej już sienie, oranżerya i ogród.

Oddycha pełną piersią.

W parku mimo południowej pory, pełno jest cienia i jesiennej wilgoci. Dziewczynka też zapuszcza się w gęste szpalery, z gołą głową i rączkami. Przechodząc mimo kląbów, zrywa podrodze astry, werbeny i anemiczne październikowe róże, składając z nich wielki bukiet do swej sypialni. Zajęcie to wraz z orzeźwiającym wpływem powietrza, dopomagają jej dzielnie, do zapomnienia kłopotów i piękna twarz natrętnego wielbiciela, niknie bez śladu z jej pamięci.

Niezadługo, bukiet, arcydzieło zręczności i gustu, jest już gotowy. Potrzeba tylko jeszcze trochę traw szerokich, trzcin puszystych i czerwonych szczawników, do jego ozdoby za któremi to okazami panienka zapędza się aż pod parkan, w koniec ogrodu. Skromna flora polna, rozrosła się tam w cieniu starej kraty bardzo bujnie, można nietylko rwać pełnemi rękami, lecz ukryć się całej, w tem dzikiem bogactwie podolskiej gleby. Dziewczynka czyni też to bez chwili namysłu, klęka na ziemi i ginie w trawie.

Teraz nie znajdzie jej pewno wycackany wielbiciel, ani pomyśli szukać ją tu w chwastach.

Ośmielona tem przeświadczeniem dziewczynka, poczyna śpiewać wesołego walca, dźwięcznym, przyciszonym głosem. Uśmiechnięta rozkosznie, pracuje w swem ukryciu skrzętnie, dobierając z pośród masy zieleni co tylko nadać jej się może do bukietu. Wyciąga właśnie rączkę po ostry liść bodjaku, gdy spostrzega biały papier, chwiejący się lekko wśród wielkiego łopianu i bylicy. Podnosi go i ma w dłoni grubą, niezgrabną kopertę, pochodzącą widocznie z kredensu lub kawiarni.

Pismo jest niezamknięte i nosi na sobie adres nieznanej miejscowości, aż pod pruskim zaborem.

To pierwsze uderza ją i zaciekawia.

Kto też ze służby pałacowej może miéć stosunki, w tak odległych stronach?

Na bibulastym, żółtawym papierze, widzi wypisane bujnym męzkim charakterem, nazwisko adresantki stare, znane, to zastanawia ją jeszcze bardziej.

Dobywszy z koperty grubo złożone pismo, szuka najpierw podpisu tajemnego korespondenta. Przy końcu listu, podpisane jest tylko: Jan i znak jakiś niejasny, ale to wystarcza jej zupełnie. Nagłe światło rozjaśnia jej umysł. Wie, że pisał to nowy stangret, jest pewną że nie mógł pisać nikt inny!

Przestaje śpiewać, siada w trawie i poczyna przebiegać szybko oczami pierwszą stronicę listu.

Wańkowce, d. 10 Października 188...

Droga, kochana Matko!

Jestem oto na miejscu mego przeznaczenia...

Przeczytawszy te słowa głośno, dziewczynka potrząsa główką w sposób wiele znaczący. Dalej czyta już po cichu i w miarę obznajmiania się z treścią pisma, oczy jej zapalają się coraz żywszym blaskiem zainteresowania.

Z grubego tego, niepozornego papieru, dowiaduje się dziwnych, niepodobnych do prawdy rzeczy, które ją zachwycają. Zarumieniona z nieokreślonego zadowolenia, bez tchu prawie, dobiega końca pierwszej karty.

Kiedy przecież zamierza przewrócić drugą, spostrzega że wdziera się w cudze, tajemne rodzinne sprawy i to ją zatrzymuje. Zdaje jej się, że nieszlachetnie byłoby korzystać z tajemnicy, którą wypadek oddał w jej ręce, waha się więc chwilę zakłopotana, między obowiązkiem a ciekawością, palącą ją ogniem straszliwym.

Nie, nie będzie czytała dalej! postanawia energicznie i zwalczając pokusę odrazu, odwraca kartkę z powrotem na pierwszą stronę. Nie, nie będzie czytała więcej! Dowiedziała się już i tak bardzo wiele. Wie, że stangret Jan nie jest wcale tem, czem się być mieni, że jest to dziecko starego, szlacheckiego gniazda, zawieruchą życiową rzucone aż w służbę do jej ojca. Wie dalej, że to człowiek rozumny, dumny tak bardzo, że przez tę dumę właśnie nie wahał się przyjść tutaj, za kawałkiem suchego chleba.

Wszystko to zachwyca ją w najwyższym stopniu.

Rozogniona, z płonącą twarzą, siedzi wśród lasu trawy, zadumana nad tym dziwnym papierem, który przed oczami jej duszy, otworzył nagle nieznane światy. Ona, wypieszczone dziecko fortuny magnackiej, nie miała dotąd pojęcia, że istnieją na świecie takie straszne, twarde warunki, takie egzystencye bolesne, w których życie nosi się z rezygnacyą, jako najokrutniej ciężkie brzemię obowiązku!

Mówiono jej wprawdzie czasem o ludzkiej biedzie. Widywała niekiedy nędzę nizką, połataną, brudną, ale ta budziła w niej litościwą odrazę, wstręt przykry, za który ksiądz spowiednik gromił nieraz ostro uroczą grzesznicę. Czyniła co mogła, aby módz kochać te łachmany, ale nie na wiele się to zdało. Rzucała obowiązkowy grosz pomocy i odwracała się.

O takiem ubóstwie hardem i pogodnem nic nie wiedziała.

Wszystko to jest dla niej zupełnie nowem! a przecież zdaje jej się, że każde słowo tego listu, wyrwano prosto z jej serca.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Francya niedawno jeszcze tak pełna życia i szczerej wesołości, gotowa zawsze do śmiechu i żartobliwego dowcipkowania, zmieniła się dziwnie od lat kilkunastu, przyciśnięta brzemieniem klęsk wojennych i upokorzona ciężko w miłości własnej. Dowcip jej nie opuścił, ale przybrał jakiś sarkastyczny charakter, w literaturze przeważył gruby realizm, wyłączający z życia wszelką idealną stronę.

Jedni autorowie rozgrzebują z upodobaniem społeczne śmietniki, inni nożem anatomicznym krają bez litości pierś ludzką i wydobyte z niej chorobliwe narośle, rzucają w oczy chciwym skandalów czytelnikom. Przez te ciemne chmury pesymizmu, przedzierał się w teatrze jasny promyk, przypominający lepsze czasy. Rzucały go komedye i wodewille Labisza, zwanego Molierem dziewiętnastego wieku. Łatwo też zrozumiéć żal Francuzów, gdy dziś ze śmiercią tego mistrza zagasł im ów promyk ostatni!

Eugeni Labisz to wierny typ mieszczanina paryzkiego w najlepszem tego słowa znaczeniu.

Wszystko mu sprzyjało od lat najmłodszych, krzepki, dorodny, zdrów zawsze i wesół, rozsiewał wkoło siebie wesołość i zdrowie, kochany od swoich, szczęśliwy w domowem pożyciu, ukochał też ludzi, a jeśli malował ich słabe i śmieszne strony, czynił to z miłością, nigdy kropla goryczy nie zaprawiła swobodnych jego żartów.

Urodzony w roku 1815, w okolicach Paryża, gdzie ojciec zajmował się cukrownictwem, wcześnie ukończył szkoły, sposobił się do prawniczego zawodu, ale szczególny pociąg rwał go raczej do pióra. Spostrzegł to ojciec, nie stawiał mu zapory; młodzian rzucił się nasamprzód do powieści, po pierwszych jednak próbach, poznał że to nie jego droga, począł wtedy pisać komedye, pomagał mu w tem szkolny towarzysz Michel. Pięćdziesiąt lat temu, w roku 1838 wystąpili obaj z wodewillem pod tytułem *Pan Coylin.*

Odtąd przez pół wieku Labisz rozweselał Paryżan niewyczerpaną werwą. Pozostawił do dwustu komedyjek i wodewillów; są między niemi prawdziwe arcydzieła w humorystycznym rodzaju. Nie jedną z tych sztuk przedstawiono w przekładzie na deskach teatru warszawskiego, ale wszystkie tak są ściśle narodowe, tak na wskroś przesiąkłe barwą miejscową, że tłomaczenie odbiera im cały urok; w obcym języku muszą wydawać się niesmaczne i przesadzone.

Czynny umysł Labisza, nie mógł poprzestać na literackiej pracy. Otrzymawszy po ojcu znaczny spadek, zakupił w okolicach Loary, na tak zwanej puszczy Solońskiej rozległą przestrzeń ziemi, zarosłej wrzosem i karłowatą krzewiną. Tam pobudował dom, zamieszkał w nim z żoną i małym synkiem. Dzięki wytrwałej pracy, wkrótce jałowe wydmy przemienił w żyzne pola i bujne łąki. Z radością patrzał na te łany falujące zbożem, na te gromady bydła i trzody owiec, rozrzucone po szerokich pastewnikach. Wkrótce pozyskał miłość i zaufanie sąsiadów. Mianowano go merem w gminie. Na tem stanowisku zaskoczyła go wojna roku 1870. Przez kilka tygodni otoczony pruskim wojskiem, odcięty od reszty kraju, z wielką odwagą stawiał opór najezdzcom, ochronił gminę od uciążliwych kontrybucyi.

Te gospodarcze zabiegi nie wytrąciły mu pióra. W teatrach francuzkich raz poraz pojawiały się nowe jego wodewile i komedyjki. Obsypywano je oklaskami, lecz te ściągały się zarówno do aktorów odgrywających rolę, jak do samego autora. Co więcej on sam nie znał się na wartości własnej. Odkrył mu ją dopiero przyjaciel, wytrawny mistrz w sztuce dramatycznej. Przed dziesiątkiem lat odwiedził go na wsi Emil Augier, zobaczmy jak słynny ten pisarz opowiada swoje odwiedziny:

„Byłem u Labisza w jego posiadłości Solońskiej. Miło mi czas upływał wśród rodziny starego przyjaciela i zajęć gospodarczych, tak całkiem obcych dla mnie. Z podziwem patrzyłem na tego zawołanego rolnika, jak z okutym koszturem w ręku, w ogromnym kapeluszu na głowie, obiegał swoje pola zdobyte z takim wysiłkiem. Dnia jednego włościanin wydawał za mąż córkę; Labisz jako mer, przewodniczył w akcie cywilnym, poczem zaproszony był na weselną ucztę.

Pozostałem sam w domu. Spędziłem dzień w bibliotece przyjaciela, wybornie się tam zabawiłem. Wpadł mi w oko cały repetuar Labisza. Nie czytałem nigdy tych sztuk, które mnie tak bawiły na scenie. Wyobrażałem sobie jak i drudzy, że gra artystów podnosi o wiele ich wartość. Pokazało się, że byłem w obłędzie, teatr Labisza zyskuje na czytaniu.

Zagadnąłem go gdy powrócił.

— Gdzie mógłbym znaleźć wszystkie twoje sztuki?

— Nigdzie, drukowało je trzydziestu sześciu księgarzy, każdy w innym formacie.

— Musisz je zebrać i wydać razem.

— Żartujesz sobie ze mnie, chcesz mnie wystawić chyba na pośmiewisko. Czyż te farsy godne powtórnego wydania? Gdybym je wziął na seryo, gramatyka wytoczyłaby mi proces!

— Łamiesz ją wprawdzie czasem, ale w tak śmieszny sposób, że gniewać się za to nie może. Zresztą mistrze mają do tego prawo, a nawet ty jesteś mistrzem!

— Idźże sobie, daj mi z tem pokój...

Nie dałem mu pokoju, męczyłem dopóty, aż przy pożegnaniu Labisz ustąpił wreszcie.

— Dobrze więc, uczynię co chcesz, ale pod warunkiem, że napiszesz przedmowę i przedstawisz mnie czytelnikom. Tym sposobem połowę odpowiedzialności weźmiesz na twoją głowę."

Przytoczone przez nas słowa Augiera są właśnie ustępem z jego przedmowy. Nie mylił się przyjaciel. Komedye i wodewile wydane w dziesięciu tomach, rozchwytane w oka mgnieniu, dały poznać Francuzom wielki talent Labisza i utorowały mu drogę do Akademii francuzkiej.

(*Dokończenie nastąpi.*)

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Nie umiejąc kłamać, Genowefa szepnęła cichutko:

— Być może, że ma niejakie prawo.

— Lecz dlaczegóż ciebie wybiera koniecznie za towarzyszkę życia?— zaczęła Katarzyna, której myśli plątały się bezładnie. — Nie jesteś przecie byle kimś aby tobą tak despotycznie rozporządzano... twojemi przymiotami i twoją urodą.

— Moje przymioty i uroda nie wchodzą tu w rachubę — odparła ze smutnym uśmiechem Genowefa. — Pan Borrèze przez szlachetność tylko prosił o moją rękę, wiedział on dobrze, że jego uczucia nie są bynajmniej dla mnie tajemnicą i że żeniąc się ze mną weźmie kobietę, która nic prócz szacunku od niego żądać nie będzie... Nie unoszę się fałszywym wstydem i wyznaję szczerze, że może odgadł, iż dla niego z ochotą oddałabym życie... Nie bierz mi tego za złe, Kasiu, wszak wiesz, że ty jesteś dlań wszystkiem na świecie!

— Genowefo! — zawołała młoda kobieta a pani Maleyra poruszyła się niecierpliwie na krześle.

Tymczasem Genowefa niezwracając uwagi na wykrzyknik bratowej, tak ciągnęła dalej:

— Raz przecie powinniśmy sobie szczerze powiedzieć całą prawdę. Jeśli zaślubię Lucyana musimy rozstać się na długo a może na zawsze, nie dlatego abym nieufała tobie lub jemu, lecz aby ułatwić sobie spełnienie trudnego obowiązku, aby nie rozkrwawiać ran swego serca ustawicznem przypominaniem dobrowolnie poniesionej ofiary i jeśli nie szczęście uzyskać choć spokój... Jest to poświęcenie wielkie, lecz dla ciebie, Kasiu, dla szczęścia i spokoju Maksyma, wreszcie dla Lucyana zniosłabym z ochotą najcięższe męczarnie! Jeśli jednak nie rozumiesz doniosłości mego poświęcenia, jeśli jeszcze więcej niż dotąd łez miałabyś wylewać, powiedz tylko słówko a cofnę moje postanowienie. Dałam sobie słowo i dotrzymam przyrzeczenia, że albo wyjdę za mąż zgodnie z twoją wolą albo nie poślubię nikogo... Teraz Kasiu możesz swobodnie wypowiedziéć co myślisz.

Katarzyna słuchała ją zdumiona.

To młode dziewczę, łagodne i bojaźliwe jak dziecię, wydało jej się najniebezpieczniejszą rywalką.

Jakaś szlachetna powaga przebijała się w każdem słowie Genowefy upokarzając panią Levallier.

Tysiące sprzecznych uczuć szarpało duszą młodej kobiety, czuła że Genowefa ma słuszność lecz niemniej gniew jej i zazdrość potęgowały się z każdą chwilą.

Nienawistnym wzrokiem objęła wiotką postać dziewczęcia, fale złotawo blond włosów okalających cudnie piękną twarzyczkę, promieniejącą w tej chwili jakimś nadziemskim urokiem.

Wreszcie po długiem milczeniu Katarzyna odezwała się pierwsza:

— Genowefo, ty nie możesz zostać jego żoną... Ja oddałam mu serce i duszę; każde moje tchnienie, każda myśl moja ku niemu się zwraca. Prawda, żem występna i pożałowania godna, lecz ta zakazana miłość jest dumą i radością mojego życia i wyrzec jej się nie potrafię... Związek nasz czysty, nieskalany, duchowy, daje mi prawo bronienia ukochanego. Chociaż pogardzam sobą nie popełniłam jednak żadnego nieszlachetnego czynu, nie poniżyłam mej godności uczciwej kobiety i nie poniżę jej nigdy!... W nagrodę mojej walki i odniesionego nad sobą zwycięztwa, żądam aby Lucyan nie ożenił się nigdy a tembardziej z tobą. Myśl, że on może należyć do innej kobiety, doprowadza mnie do szaleństwa!... Ty jesteś tak piękną i dobrą i kochasz go taką szlachetną i niesamolubną miłością, że Bóg zawsze sprawiedliwy i miłosierny musiałby w końcu pobłogosławić twoim usiłowaniom; zesłałby ci na pomoc macierzyństwo, a wtedy Lucyan zapomniałby o mnie... ja zaś nie chcę tego, nie chcę — dodała z najwyższą rozpaczą.

Genowefa z początku rozmowy przeraziła się niewymownie gwałtownym wybuchem uczuć Katarzyny, lecz ostatnie jej słowa zraniły boleśnie serce młodej dziewczyny.

Macierzyństwo! ten świetlany promień o którym nie śmiała marzyć dziewicza jej wyobraźnia a który kiedyś mógłby rozjaśnić szarą, bezbarwną jej przyszłość i to przewidziała i przeklinała zawczasu Katarzyna! Ah! to było zbyt okrutne!

Inna na jej miejscu kochając tak jak ona kochała, byłaby może zamarzyła o pulchnym, złotowłosym aniołku, który maleńkiemi rączynami złączyłby w jednym uścisku matkę i ojca i obudził gorętsze w ich sercach uczucie.

Lecz Genowefa nie myślała o sobie, zajęta Maksymem i Katarzyną, nie miała czasu na rojenia o przyszłości. I tak to odpłacano za jej poświęcenie, najwznioślejsze jej uczucia Katarzyna odepchnęła ze wzgardą!

— Dobrze, Kasiu — odparła zwolna i spokojnie. — Powiem bratu, że po dłuższem zastanowieniu doszłam do przekonania, że jestem zbyt pospolitą kobietą dla takiego jak pan Borrèze artysty i nie zdołałabym go uszczęśliwić. Sam kiedyś uczuwał podobną obawę, nie zdziwi się więc, że ja takie same mam przekonanie.

Pani Maleyra głęboko zmartwiona pragnęła jabim bądź kosztem zażegnać katastrofę. Katarzyna spodziewała się walki, spokój i powaga Genowefy podziałały na nią jak strumień zimnej wody.

— Czy masz do mnie za to urazę? — spytała.

Genowefa przecząco wstrząsnęła głową, myśl że nie zdoła odwrócić grożącego Maksymowi nieszczęścia, bolesnem przejęła ją uczuciem a siłą woli powstrzymywane łzy, stłumiły głos w piersiach.

Katarzyna inaczej wytłomaczyła sobie wzruszenie dziewczęcia i serce jej drgnęło litością.

— Nie miej mi tego za złe — odezwała się przyciągając dziewczę do siebie. — Jam bardziej od ciebie pożałowania godna. Ty przynajmniej nie doznajesz wyrzutów sumienia.

— Postarajże się ukrywać je chociażby ze względu na Maksyma — odparła łagodnie młoda dziewczyna — on i tak cierpi bardzo.

— Maksym cierpi? I cóż jest powodem jego cierpienia?

— Miłość bywa jasnowidzącą, nie łudź się Kasiu, Maksym odgadł całą prawdę i chociaż nie robi ci wyrzutów niemniej serce jego boleśnie jest zranione. Miejże nad nim litość, Kasiu, wiesz że Maksym jest dumny i nie będzie cię błagać o jałmużnę uczucia!

Genowefa mówiła to wszystko błagalnie, starając się dźwiękiem głosu złagodzić surowość wymówki. Skończywszy chciała się oddalić, lecz pani Maleyra chwyciła ją za rękę:

— Zostań! — zawołała. — Jeśli chcemy uleczyć chorego nie zważamy na jego kaprysy ani narzekania, usiłujemy go ocalić nawet wbrew jego woli. Tak samo trzeba postępować i z chorobami duszy.

Młoda dziewczyna z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

— Nie masz prawa poświęcać spokoju i szczęścia twego brata dla szalonych urojeń Katarzyny — zaczęła znów po chwili milczenia pani Maleyra.

— Droga pani, małżeństwo moje to dopiero połowa zamierzonego celu, do osiągnięcia go w zupełności potrzebne jest koniecznie zezwolenie i rezygnacya Katarzyny. Widać jednak, że podobna ofiara przechodzi jej siły skoro zdobyć się na nią nie może, pocóż więc miałabym myśléć o związku, który w gruncie rzeczy nie zmieniłby nic w naszych wzajemnych stosunkach. Nie jestem przecież rywalką usiłującą wydrzéć innej kobiecie ukochanego człowieka, tylko siostrą która chce się poświęcić, lecz byłaby niezdolną popełnić jakiś czyn nikczemny lub nieuczciwy.

— Tego przecież nikt nie żąda od ciebie, moje dziecię — odrzekła zwolna pani Maleyra.

— Nie tylko, że sama nie postąpiłabym nieszlachetnie, ale nawet nikomu nie pomogłabym do złego, z żywością podchwyciła Genowefa.

Katarzyna odsunęła się w przeciwległy róg salonu i w głębokiej utonęła zadumie.

Jakto, miałżeby w istocie Maksym wiedziéć o wszystkiem? Ależ to byłoby okropne! Katarzyna nie śmiałaby przystąpić teraz do niego, pod każdem spojrzeniem męża lica jej oblewałyby się gorącym rumieńcem wstydu... Nie, nie, Maksym nie domyśla się niczego, inaczej byłby się zdradził jakiem nieostrożnem słówkiem. Wszakże przed pół godziną gdy przyszedł dowiadywać się o jej zdrowie, okazywał jej tę samą czułość i troskliwość co zawsze.

W tej chwili jednak przypomniała sobie rozmowę, jaką mąż prowadził z nią przed przyjściem Lucyana, jego dziwne uwagi i szczególne pytania jakie jej zadawał, i nagła błyskawica rozjaśniła jej umysł przedstawiając rzeczy w prawdziwem świetle.

Zrozumiała teraz co skłaniało Lucyana do powzięcia tak nagłego i dziwacznego postanowienia, które całemi siłami popierała pani Maleyra, zrozumiała postępowanie męża i Genowefy.

Jakże małoduszną i nikczemną wydawała się w obec nich; mąż i siostra, których uważała zawsze za ludzi pospolitych i ograniczonego umysłu, dawali jej teraz przykład bohaterskiego poświęcenia i zaparcia siebie. Czuła się głęboko upokorzoną i zawstydzoną, że sama nie potrafiła wznieść się do tych wyżyn, których oni dosięgli z łatwością!

Genowefa poświęcała się z ochotą nie łudząc się bynajmniej nadzieją szczęścia, mniemała że i Katarzyna potrafi wszystko poświęcić dla obowiązku, lecz zawiodła się biedaczka, Katarzyna zatracała zwolna wszystkie szlachetne uczucia, któremi dotąd chlubiła się przed światem.

Młoda kobieta sama przeraziła się stanem swej duszy lecz nie miała siły wyrzec się zakazanego uczucia; myśl że może na zawsze utracić Lucyana, szaloną przejmowała ją trwogą i pozbawiała przytomności umysłu i zimnej krwi, tak koniecznej w tej chwili.

Wiedziała aż nazbyt dobrze, że Genowefa nie będzie się starała usidlić Lucyana a jednak zdawało jej się, że go już traci na wieki!

Znikał czarodziejski sen miłości a miejsce jego zajmowała szara, bezbarwna rzeczywistość, na wspomnienie której serce zamierało jej w piersiach.

Doznawała takiego uczucia jak człowiek, który strącony nagle z wyżyn w jakąś bezdenną przepaść, szuka napróżno podpory i ratunku.

Ogarnęło ją dziwne uczucie pustki i zniechęcenia, machinalnie powiodła wzrokiem dokoła jakby wzywając wsparcia i opieki.

Pani Maleyra rozmawiała jeszcze z Genowefą a Maksym spokojny choć blady jak marmur, zbliżał się ku niej powoli.

Szukała wsparcia i oto spostrzegła męża; byłaż to wskazówka od Boga? Chciała wstać i rzucić się w jego objęcia lecz zbrakło jej siły i pozostała jak martwa w fotelu.

IX.

Ujrzawszy Maksyma, Genowefa wysunęła się z objęć pani Maleyra i z uśmiechem na ustach podbiegła do brata.

— Poszłam za twoją radą, braciszku — zaczęła drżącym nieco głosem — i po dłuższem zastanowieniu widzę, że nie byłabym odpowiednią dla pana Borrèze żoną.

— Genowefo! — rzekła błagająco pani Maleyra — zaklinam cię na przyjaźń naszą, nie unoś się fałszywemi skrupułami.

Pan Levallier spojrzał z podziwieniem na mówiącą a później zwolna przeniósł wzrok na siostrę i żonę.

Zrozumiał, że Katarzyna nie chciała dobrowolnie wyrzec się miłości Lucyana. Przeświadczenie to było jedną raną więcej dla jego zbolałego serca lecz zarazem pocieszyła go myśl, że chociaż Genowefa pocierpi trochę, nie unieszczęśliwi się jednak na całe życie. Młodzi zapominają szybko.

— Najdroższa — szepnął ściskając ją w objęciach — pochwalam twój rozsądek. Zdjęłaś mi wielki ciężar z serca.

— Słowo daję, poszaleliście chyba wszyscy — odezwała się z niechęcią pani Maleyra — nie można z wami dojść do ładu. Zdaje wam się, że Lucyan to jakiś potwór, a choćby i tak było to ręczę wam, że Genowefa potrafiłaby go ugłaskać... Czy nie widzisz, Maksymie, jak szalenie jest w nim rozkochana? Spójrz tylko na nią a zobaczysz jak cierpi; biedne dziewczę siłą woli tłumi łzy gwałtem cisnące się jej do oczu... Maksymie, czy ty pojmujesz, że ona kocha całą duszą Lucyana?

— Cóż z tego, kiedy Lucyan jej nie kocha!

— O! z czasem to i on ją pokocha...

— I dla takiejto zwodniczej nadziei chciałaby matka poświęcić całą przyszłość Genowefy? — zawołał z uniesieniem pan Levallier. — Widać matko, że nie doznałaś nigdy w życiu katuszy bezwzajemnej miłości, skoro bez wahania chciałaś włożyć ten ciężar na barki Genowefy! Ale ja nie przystanę na to nigdy, nie chcę aby podobnej doznawała boleści, aby musiała ciągle przebaczać i usiłowała zapominać o tem, o czem człowiek nigdy zapomniéć nie może!... Takie życie to prawdziwa

męczarnia, której końca wyglądamy z upragnieniem.

— Mój synu — rzekła z głębokiem wzruszeniem pani Maleyra — mąż i żona posiadający istotne poczucie honoru i uczciwości, nie mogą być tak dalece nieszczęśliwemi.

— Czy matka wierzy w to?

— Tak, wierzę i zdaje mi się, że mam słuszność.

— Ileż jest jednak niedobranych małżeństw, w których ani jedna ani druga strona nie popełniła może nic zdrożnego, i gdzie jedynym powodem rozdwojenia bywa niezgodność charakterów. Małżonkowie mieszkają pod jednym dachem i przebywają obok siebie z rozpaczą i gorzkiem w duszy rozczarowaniem, a moralna przepaść dzieląca ich dotąd, z dniem każdym powiększa się bardziej. Okropne życie! pozbawione nietylko złudzeń i szczęścia ale nawet wspomnienia miłości, przy którem żywiej uderza najbardziej zobojętniałe serce... Gorące uczucia napróżno płynęły nam z duszy, zamiast użyźnić, w popiół obróciły wszystko; przed nami i za nami ciągnie się bezbrzeżna pustynia w której ani wytchnienia ani wypoczynku nie znajdziemy. Boleść tylko jest nieodłączną towarzyszką tej smutnej pielgrzymki... Cóż czynić wtedy gdy braknie nam odwagi, gdy siły wyczerpią się w walce z przeciwnościami?... Czy należy wtedy uciekać, porzucić żonę?

Tu pan Levallier zatrzymał się chwilkę, poczem tak mówił dalej stłumionym od wzruszenia głosem:

— Postępek taki nazywałby się niegodziwością, mężowi niewolno w ten sposób usuwać się z drogi żonie. Pomimo, że związek zamiast zapewnić mu szczęście naraził go tylko na rozczarowanie, to go nie upoważnia, aby frymarczył cnotą i nieszlachetnie cofał się ze stanowiska, które w obec Boga i ludzi dobrowolnie na siebie przyjął. Powinien więc walczyć, walczyć do upadłego, bez chwili spoczynku ani wytchnienia, bez nadziei jakiejkolwiek nagrody, krwawiąc sobie stopy o stromą ścieżkę żywota... Nie, nie, stokroć nie, nie chcę aby podobne piekło stało się udziałem Genowefy.

Maksym mówił to wszystko ze wzrastającym wciąż zapałem, długo tłumiona boleść dźwięczała teraz w jego głosie.

Pod wpływem słów jego Katarzyna budziła się z odrętwienia. Wzburzony umysł zwolna odzyskiwał równowagę; tkliwe, pełne bolesnej prawdy opowiadania męża, odbijając się w jej własnem sercu, łagodziło zarazem gwałtowność doznanych wrażeń.

Idąc za popędem niezrozumiałego dla niej uczucia, podniosła się z krzesła, cicho prześlizgnęła się po dywanie i zjawiając się jak widmo przed mężem, wyciągnęła ku niemu błagalnie złożone dłonie.

— Maksymie, Maksymie! — zawołała ze łzami w oczach — powiedz, czy o sobie mówiłeś przed chwilą?... Miej litość, Maksymie, zaklinam cię na wszystko co masz najświętszego na świecie, powiedz czy to ja zdruzgotałam tak twoje serce i zatrułam spokój twego życia?

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z pamiętników Pauliny Lucca.

W czasopismie wiedeńskiem p. t. An der schoennen blauen Donau, Paulina Lucca znakomita i znana powszechnie śpiewaczka, tak opowiedziała początek swej karyery.

Miałam wtenczas ośm lat — opowiada artystka — i chodziłam do szkoły na Wiedeniu. Rodzice moi byli biedni, mimo tego czynili wszelkie wysiłki, aby mi dać wykształcenie, odpowiadające współczesnym wyobrażeniom. Na pierwszym planie stała wówczas (1852) umiejętność francuzkiego języka, matka więc nie spoczęła, aż odprowadziła mnie do tej błogosławionej szkoły, gdzie po długich staraniach pozwolono mi przychodzić... za połowę ceny.

Nikt w owej chwili nie czuł się tak nieszczęśliwym, jak moja matka, nikt tak przygnębionym, jak ja. „Od biedy” zaledwie rozmawiałam po niemiecku, rodzinny bowiem mój język był włoski, teraz miałam się uczyć odrazu i po francuzku. Uważałam to za tyranię, przeciw której stosowałam reakcyę bardzo stanowczą: nie uczyłam się niczego, nietylko po francuzku, lecz w ogóle niczego. Przełożona i nauczycielki nie lubiały mnie; bo niedość że byłam, jak mówiono „zakutą”, lecz nadto płaciłam tylko połowę za naukę; koleżanki, które płaciły całe wpisowe, traktowały mnie z góry. Zkąd zresztą miała się brać sympatya ku mnie? Byłam biedną, wyglądałam na głupią i uchodziłam za złą. Biedna, zła i do tego głupia, piękny początek życia dziecka! Wyjątek w gronie nauczycielskiem stanowił nauczyciel religii, ks. Jastrzębek, który mnie zahukanej okazywał dużo współczucia i troskliwości, jakkolwiek skuteczności jego nauk składałam niezbyt zaszczytne świadectwo...

W całorocznem męczeństwie mego „nieuczenia się” bywały jednakże chwile jasne. Mówię o tygodniowych lekcyach śpiewu moich koleżanek. Byłam wprawdzie tylko bierną uczestniczką tych chwil; wolno mi było słuchać, doglądać nut, używanych przy nauce, podtrzymywać pulpity, tylko nie wolno mi było śpiewać. Za to trzeba było płacić osobno, a moja matka zdołała zaledwie płacić połowę za to, żem się... nie uczyła po francuzku. Nie śpiewałam więc w szkole, ale za to w domu tem głośniej, im pewniejszą byłam, że mnie nikt nie słucha...

W takich okolicznościach nadszedł ciężki dzień popisu rocznego... Na trudnościach, jakie matka miała w sprawieniu mi uroczystego kostyumu, miała się już rozbić możność mego występu na egzaminie; nakoniec dostałam się w litościwe objęcie wysłużonej firanki z muślinu. Matka uszyła mi z tego materyału sukienkę, która wprawdzie nie odznaczała się krojem, lecz była białą, a to dosyć.

Siedziałam w ostatniej ławce naturalnie, gdy pod sam koniec egzaminu usłyszałam wyraźnie głos: „Paulina Lucca”. Byłam tak wystraszona, że nawet zapytania, jakie mi dano, nie rozumiałam, przerażenie moje wywołało wesołość wśród areopagu, tylko w oczach matki ujrzałam łzy, które mnie powołały do przytomności, lecz *fiasco* stało się już niecofnionym faktem.

W dziecięcej duszy dokonała się w tej chwili jakaś wielka przemiana. Tępy indyferentyzm gdzieś się podział, coś zaczęło się burzyć we mnie i słyszałam jakby głos pytający: jakże ty otrzesz te łzy matczyne?

Moje *fiasco* było końcowym efektem głównego egzaminu, po którym nastąpiły przedmioty nieobowiązkowe, a ostatnim w tej kategoryi był śpiew. Uczenice, które brały lekcye śpiewu, podniosły się z miejsc. Niebywała energia wstąpiła we mnie i powstałam także.

Napróżno przełożona dawała mi znaki gniewnym wzrokiem. Stałam, wpatrując się błagalnie w poczciwego ks. Jastrzębka, od którego instynktownie czekałam ratunku. Dzieci prześpiewały kolejno według listy i tylko ja sama zostałam, stojąc. Wtedy ksiądz spostrzegłszy mnie, ozwał się:

— O, i ta mała nam chce zaśpiewać.

— Nie uczy się śpiewu — protestowała przełożona.

— Nic nie szkodzi—odparł ksiądz katecheta.— Co umiesz śpiewać, mała?

— Wszystko, co inne — odpowiedziałam dumnie.

— Więc zaśpiewaj „Wann's Mailüsterl weht”.

Ileż razy śpiewałam potem przed publicznością! Ale nigdy nie byłam pewniejszą sukcesu, nigdy nie śpiewałam swobodniej, jak na owym pierwszym występie publicznym! Ogólne pochwały dały się słyszeć po pierwszej pieśni, kazano mi śpiewać dalej i śpiewałam jeden po drugim wszystkie numera szkolnego programu, śpiewałam. aby osuszyć łzy mojej matki i nie pamiętam chwili tak szczęśliwej, jak wówczas, gdym ją ujrzała rozpromienioną szczęściem, gdy zewsząd zasypano ją powinszowaniami.

Z pośród zebranych zbliżył się do mnie jakiś pan gruby, o czerwonem, wygolonem obliczu. Był to Józef Erl, podtenczas słynny tenor nadwornej opery.

Los mój został zdecydowany, dzielny Erl zajął się nim szczerze i tak zostałam śpiewaczką.

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

Otóż stoimy w progu wielkopostnych rozmyślań. Jeszcze dalekim echem dochodzą do nas tony muzyki tanecznej i chichoty szaleństw karnawałowych, ale bijemy się w piersi z żalu... za kiesą dobrze przepłoszoną. Bawiono się u nas bawiono i w świecie dalekim: zapomnienie choć chwilowe tego co gniecie i boli wszędzie pożądane. Strojono się u nas i luksusowano, to samo i gdzieindziej robiono, z tą tylko różnicą, że w obczyźnie więcej gotówką płacono a u nas... kwitkami na niżej podpisanego. Wszędzie jednak bez porównania więcej było balów publicznych jak zabaw prywatnych. Rachunek widocznie przeważył. Oby zawsze w każdej czynności na pierwszym był względzie.

Pomiędzy balami publicznemi, bal w Wiedniu tak zwany polski, z wielkiem jak zwykle odbył się powodzeniem.

Dekoracyą sali balowej kierował w roku bieżącym Ajdukiewicz i według opisu w gazetach wiedeńskich, wywiązał się z zadania swego znakomicie. Estrada, przeznaczona dla książęcych gości balu, ubrana była bogatemi draperyami z czerwonej brokateli, przetykanej złotem i okolona najrzadszemi roślinami egzotycznemi. Pokój protektorek balu, czyli tak zw. w Wiedniu „patrones", wybity był gobelinami. Kornety dla dam, skromniejsze w roku bieżącym, milszą wszakże niż kiedykolwiek stanowić będą pamiątkę, bo widnieje na nich zamek na Wawelu i symboliczna niezapominajka.

Oprócz tualety następczyni tronu, następujące stroje odznaczyły się gustem i przepychem: arcyksiężna Marya Teresa — suknia z brokateli *rose de Chine*, przybrana białemi koronkami i srebrnemi żołędziami; garnitur z brylantów i szafirów, we włosach dyadem i pióra brylantowe. Księżna Ludwika Coburg — suknia z różowej brokateli, bramowana niebieskiemi lisami, stanik ubrany brylantami i bertą z futra, we włosach dyadem i pióra brylantowe, naszyjnik z brylantów i szafirów. Hrabina Taaffe — suknia z ponsowej *moiré antique*, haftowana ciemnemi perłami, we włosach gwiazdy brylantowe i rubiny, takiż naszyjnik rzadkiej piękności. Pani Marya Dunajewska — suknia z aksamitnej brokateli *bordeaux*, pokryta kosztownemi wschodniemi haftami, ubrana czerwonemi piórami do cieniu i agrafami brylantowemi. Hrabina Marya Krasicka — suknia z błękitnego aksamitu, na spódnicy, srebrem haftowanej, pióra blado-niebieskie i srebrne egretki. Hrabina Marya Badeni — suknia z popielatej brokateli, ubrana stalowemi galonami, garnitur z brylantów i szafirów w kształcie gwiazd. Hrabina Marya Bonda — suknia ze srebrnej brokateli, przód haftowany szafirami. Hrabina Potocka — suknia z blado-niebieskiego *monopol*, ubrana różowemi kokardami i srebrnemi galonami, na staniku brylanty i różowe pióra. Baronowa Helena Ziemiałkowska — suknia z niebieskiej brokateli *genre Antoinette*, przód bogato ażurowemi haftami przybrany. Pani Józefa Romaszkan — suknia niebieska atłasowa, tren z chińskiej brokateli, we włosach agrafy brylantowe i rubiny. Księżna Zuzanna Czartoryska — suknia aksamitna lila, przód ubrany gęsto świeżemi fiołkami, we włosach wianek z fiołków. Hrabina Wodzicka — suknia z brokateli lila, przerabianej srebrem, ubrana strusiemi piórami tegoż koloru i bukietami brylantowemi. Pani Ludwika Jaxa-Chamiec — tualeta z żółtej brokateli *genre Tudor*. Hrabina Franciszka Czernin — suknia ze srebrnej brokateli przód ponsowy aksamitny. Baronowa Vaux — suknia z aksamitu lila, poły ze srebrnej brokateli. Hrabina Marya Harrach — tualeta z blado-niebieskiej brokateli, przybrana srebrnemi galonami i nakoniec hr. Marya Krasicka — tualeta ze złocistego adamaszku, *genre princesse*, przybrana ponsowemi piórami.

Na ostatnim balu w ratuszu paryzkim zwróciła powszechną uwagę nowa ozdoba tualetowa pani Delpart, jednej z największych elegantek kolonii angielskiej. Na kwiatach zdobiących stanik elegantki, jaśniał błyszczący, mieniący się różnemi barwami, żywy chrząszcz, który swobodnie spacerował sobie po woniejących kwiatach. Przytwierdzony był do cieniutkiego złotego łańcuszka, zaopatrzonego w śpilkę, wpiętą do stanika.

Pani Delpart objaśniła ciekawych, iż chrząszcz sprowadzony został z Meksyku i pochodzi z gatunku chrząszczów egipskich, które jakoby mogą żyć przez lat 60 bez pożywienia, karmiąc się powietrzem i wonią kwiatów.

Nowy ten wybryk mody został podobno z entuzyazmem powitany przez Paryżanki.

Mamy dziś do zaznaczenia ważny dla przemysłu krajowego wypadek.

Oto grono przemysłowców, łącznie ze specyalistami, krząta się około utworzenia wielkiej fabryki zegarków, celem dostarczania zakładom zegarmistrzowskim wszelkich oddzielnych części mechanizmu, jak kółek, trybów, osi i t. p.

Niezależnie od tego nowa spółka produkować będzie całe zegarki.

Przyczyny, które zachęciły inicyatorów do podjęcia tej sprawy, spoczywają w wysokich opłatach celnych od sprowadzanych z zagranicy części składowych mechanizmu zegarkowego, oraz w kosztach transportu.

Dla doprowadzenia do skutku projektu, spółka nabywa w Szwajcaryi fabrykę, która wraz ze wszelkiemi machinami i przyborami będzie przeniesioną do Warszawy i pomieszczoną w zakupionym na ten cel domu na Lesznie.

Na początek niezależnie od współudziału kilkudziesięciu pracowników krajowych, wspólnicy będą zmuszeni przybrać do pomocy pewną liczbę wykwalifikowanych fachowców szwajcarskich.

Nowa spółka komandytowo-firmowa, pod przewodnictwem p. Emila Augustynowicza, rozpocznie swoją działalność jeszcze w r. b.

W tych dniach powrócił z Paryża p. Misiewicz, ajent spółki wywozu mięsa za granicę.

Według jego opowieści, handel mięsny za granicą może liczyć na powodzenie.

To też p. M. znowu wyjeżdża we czwartek ze świeżym transportem szynek, dostarczonych przez okolicznych obywateli w cenie po kopiejek 15 za funt.

Tymczasowa spółka urządziła w Paryżu na Batignole główny skład wędlin warszawskich, które sprzedaje po cenie 2 fr. 50 ctm. za kilo szynki, zaś za kilo polędwicy po 3 franki.

Nie ulega wątpliwości, iż potrzeba będzie dłuższego czasu do zapoznania paryżan ze smakiem naszych wędlin.

Największy zbyt może mieć w przyszłości polędwica wieprzowa wędzona, której w Paryżu wcale nie ma.

Na razie może mieć zbyt w Paryżu około 1,000 pudów miesięcznie.

Wysyłka w obecnej porze z powodu nizkiego kursu rubla jest wielce korzystną.

Ciekawy artykuł o wpływie Polek na wynarodowienie Niemców w W. Ks. Poznańskiem i Prussiech Zachodnich, znajdujemy w półurzędowym dzienniku *Post*:

„Nie prowadzimy wprawdzie wojny z kobietami, pisze autor, ale musimy się z niemi rachować, jeśli pragniemy dopiąć naszego wielkiego celu. A że jest ważną rzeczą ustrzedz naszych ziomków od coraz bardziej posuwającej się ku zachodowi polonizacyi, musi przyznać każdy, kto w sobie żywi narodowe uczucie. Niewiele jest prawdziwie pięknych Polek, ale w ogóle odznaczają się one tem, co właśnie słabi, zniewieściali mężczyzni najbardziej podziwiają: spokojną, świadomą celu energię i przez silną wolę popartą zdolność panowania w cichości a skutecznie. W 99 wypadkach na 100, tam gdzie żona jest Polką, panuje ona nad mężem.

Polka przechowuje troskliwie narodowe idee i nie pozwala mężowi mieszać się do spraw domowych; Polka zawsze energicznie się opiera niemieckim pojęciom i niemieckiemu duchowi, ponieważ widzi w nim niebezpieczeństwo dla swej władzy; nie cierpi ona wiernej, uległej żony niemieckiej. Polka utrzymuje „język macierzysty" w literalnem znaczeniu tego wyrazu, albowiem wie, że przez język utworzy ścisły związek duchowy ze swemi dziećmi. To też codzienne doświadczenie w W. Ks. Poznańskiem i Prussiech Zachodnich uczy, że narodowe pojęcia mężczyzny zależą wyłącznie od tego, czy pochodzi on od Polki, lub z Polką jest żonaty. Od ojca otrzymują dzieci swe nazwisko, od matki narodowość. Że małżeństwo z Polką jest najlepszym środkiem polonizacyi, wiedzą o tem dobrze Polacy i środka tego używają. Przytoczymy jeden tylko przykład. W jednem z miasteczek prowincyi Poznańskiej, niemłody już sędzia, pełniąc wiernie swe obowiązki, stopniowo przejął się duchem pruskim. Naraz po ożenieniu się z Polką, zerwał wszelkie stosunki z rodzinami niemieckiemi i przestawał tylko z polskiemi, które go zjednały zupełnie dla swej sprawy.

Naszem zdaniem za mało dotąd zwracano uwagi na rolę kobiet, utrudniających w W. Ks. Poznańskiem i Prussiech Zachodnich, próby germanizacyi. Na nieszczęście niemożna młodych Polek oddawać do wojska lub przesiedlać na kilka lat do prowincyi zachodnich.

Niemożna temu przeszkodzić, iżby zamożny Polak nie oddawał swych córek do pensyonatu w Królestwie Polskiem lub Galicyi, usuwając je od wszelkich wpływów niemieckich. Jedna tylko pozostaje droga: użyć wpływu niemieckich kobiet w zagrożonych prowincyach. Jakże wiele dobrego przyniosłoby naszej sprawie, gdyby kobiety niemieckie w tych prowincyach przejęły się myślą, iż winny walczyć za niemieckie obyczaje niemieckiego ducha i działać w interesie germanizacyi! Dalej starać się trzeba, iżby Niemcy nie żenili się z Polkami.

Dlatego tylko żonaci urzędnicy, koloniści i t. p. z prowincyi zachodnich winni być do prowincyi polskich posyłani; a nadto żywioły niemieckie wszelkich stanów powinny ściśle łączyć się z sobą i unikać bratania się z Polakami. Tylko z pomocą niemieckiej kobiety potrafimy oprzeć się słowianizmowi, zagrażającemu części naszej ojczyzny."

Ciche zaręczyny księcia szwedzkiego Oskara, z panną Ebbą Munck, odbyły się podczas świąt Bożego Narodzenia, a dziewosłębem rozkochanej pary był.. śpiew. Królowa, spostrzegłszy przywiązanie młodych ludzi, stanęła po ich stronie i postanowiła zwalczyć opór króla, który zrazu nie chciał słyszeć o tem małżeństwie syna swego; ztąd wysyłanie księcia Oskara w dalekie podróże i dymisyonowanie panny Munck, jako damy dworu. Królowa wszakże utrzymywała w dalszym ciągu stosunki ze swoją ulubienicą, polecała jej, jak dawniej, załatwianie spraw miłosierdzia, a w ostatnich czasach, przekonawszy się, że rozłączenie w niczem nie wpłynęło na zmianę uczuć księcia Oskara, wprowadziła protegowaną swoją nanowo w królewskie koło rodzinne. Panna Munck posiada niepospolicie piękny głos i królowa często z upodobaniem słuchała jej śpiewu.

Król Oskar skomponował kilka pieśni treści religijnej, z których jedna zawiera następującą strofkę:

„O człowieku, jeżeli w twej duszy goreją jeszcze wyższej miłości płomienie, Idź dzisiaj do stóp Krzyża, A tam poznasz najwierniejszego przyjaciela. O święte błaganie! O pociecho, tak piękna! Serce twoje wówczas znajdzie posłuchanie!"

W święta Bożego Narodzenia, na wieczornem zebraniu u królowej, ta ostatnia prosiła pannę Munck o zaśpiewanie powyższej pieśni. Nadobna śpiewaczka wykonała ostatnią strofkę z takiem głębokiem przejęciem, że oczy wszystkich zwróciły się na króla, który wszedł już podczas śpiewu i usiadł obok fortepianu. Monarcha był widocznie głęboko wzruszony, a gdy śpiew ucichł siedział jeszcze przez pewien czas zadumany, poczem wstał szybko, pochwycił za rękę syna swego Oskara i w milczeniu zaprowadził go do panny Munck.

W ten sposób odbyły się półoficyalne zaręczyny królewskiego syna.

Udoskonalenie mężczyzn. Pod tym hasłem utworzyło się w Paryżu stowarzyszenie, złożone z kobiet wszelkich narodowości, mające na celu, sprowadzanie z manowców owych zbłąkanych owieczek, jakiemi są po większej części przedstawiciele brzydszej połowy naszego rodzaju.

Inicyatorki zamierzają podnieść moralny poziom mężczyzn... przez obcowanie z nimi. O skuteczności tych zabiegów nie pozwalamy sobie wątpić, zwłaszcza, jeśli wśród szeregów apostołek znajdą się młode i powabne przedstawicielki.

Berlińskie echo podając wiadomość o naszym młodym chłopczynie Józiu Hofmanie, jako genialnem dziecku, obecnie koncertującem w Nowym Jorku, nazywa go dzieckiem polsko-niemieckiem. Czyżby nasz chłopczyna był słownikiem?

* * *

Ciekawą sprawę powierzono w tych dniach jednemu z adwokatów warszawskich.

Młody, średnio zamożny pan B., bywał w domu państwa J., w charakterze starającego się o względy ich córki, bezposagowej jedynaczki...

Panna sprzyjała młodzieńcowi i oświadczyny jego przyjęła.

Młody B. był pewnym już serca i ręki przyszłej małżonki, nieszczędził przeto żadnych podarunków i prezentów przedślubnych.

W ostatnich czasach ofiarował nawet złote pierścionki zaręczynowe, z których jednak korzystać... nie miał...

Tak!... Dziadek bowiem panny, dowiedziawszy się o zamierzonym związku wnuczki z B., stanowczo zezwolenia swego odmówił, motywując odmowę niezamożnością narzeczonego.

Zachęcona obietnicami dziadka, panna J. której tenże przyrzekł zapisać dwie wioski po swojej śmierci, związek zamierzony zerwała.

Pan B. długo bolał po stracie narzeczonej... a w końcu postanowił wycofać wszystkie przesłane jej kosztowności, podarki, prezenta i... owe pierścionki zaręczynowe.

Prośby listowne nie odniosły jednak żadnego skutku...

P. B. zatem wystąpił ze swemi pretensyami na drogę sądową.

Adwokat pragnąc załatwić nieporozumienie w drodze polubownej, sam napisał o zwrot prezentów do panny. Ta odesłała go do... dziadka, który uznał za stosowne nie dać wcale odpowiedzi.

Odniesiono się zatem listownie do ojca panny.

List zwrotny tego ostatniego brzmi w skróceniu, jak następuje:

„Ja panie, do tego... interesu nie należałem. Z prezentów nie skorzystałem ani... kopiejki... Córka moja ma... bzika... i dziadek... także!... Ja jestem niewinny, jak nowonarodzone dziecko!... Dziękuję gorąco Bogu, że nie obdarzył mnie... kilkoma córkami... Kłaniam się panu."

Kto zatem zwróci?

* * *

Suluk abisyński był wielkim wielbicielem Napoleona I-go i lubił przytaczać jego wyrażenia. Raz podczas przeglądu wojska, przypomniał sobie słowa Napoleona, który w Egipcie wskazując na piramidy rzekł:

— Żołnierze! z tych szczytów piramid spogląda na was *cztery tysiące lat!*

Suluk wskazując na las kokosowy, zawołał:

— Żołnierze! z tych drzew kokosowych spogląda na was *cztery tysiące małp...*

— Hurra! — wrzasnęła tłuszcza jego uszeregowana.

RÓŻNE MYŚLI.

Śmierć jest lekarstwem, które można zawsze znaleźć, lecz używać go trzeba najpóźniej.

Molierè.

ZAWIADOMIENIA.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Февраля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



Pl. 568.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.